

Milczały długo, zbyt długo... Ale kiedy połączyły się, zemsta nabierze realnych kształtów.

MILCZĄCE DZIEWCZYZNY

SONIA ROSA

FILIA

SONIA ROSA

MILCZĄCE

DZIEWCZYNY

FILIA

Tego ranka pływał nago. Fala ekstremalnych upałów, która przechodziła przez północno-wschodnią Polskę, sprawiła, że od ponad tygodnia prawie nie sypiał. Walcząc z siekącymi jego skórę komarami, sączył przyjemnie schłodzone ciemne piwo, drzemał w leżaku, trochę pracował. Stolarka wymagała pewnej ręki, więc starał się nie przesadzać z alkoholem, nawet jeśli zajmował się tym wyłącznie hobbystycznie.

Strząsnął z siebie wodę i boso, wciąż nagi, ruszył ścieżką w stronę graniczącego z brzegiem jeziora sosnowego lasu. Teraz, kilka minut po piątej rano tego ciepłego, sierpniowego dnia, czuł się jak młody bóg. Mimo niewyspania i lekkiego bólu głowy, po przepłynięciu kilkuset metrów i orzeźwiającej kąpieli energia dosłownie go rozpierała. Ubrania zostawił pod drzewem, kilkanaście metrów dalej, ale jeszcze nie miał ochoty wkładać szortów, podkoszulka ani butów. Zwłaszcza tych ostatnich. Chodzenie boso kojarzyło mu się z beztróską szczeniackich lat, było w tym zwyczajnie coś pierwotnego. Jako nastolatek spędzał w tych

lasach całe dnie. Żywiczny zapach unoszący się w powietrzu budził w nim nostalgię, tęsknotę za tym, co nie wróci. Życie nie potraktowało go tak, jakby sobie tego życzył, poharatało. Nie o tym śnił, będąc smarkaczem, ale nie zamierzał się nad sobą użalać. Inni mieli gorzej, mówił sobie.

Przeciwną się, a pod jego stopą trzasnęła wysuszona gałązka. Sekundę później kątem oka dostrzegł migającą pośród strzelistych pni drzew, ruchomą plamę czerwieni. Dziewczyna. Nie, raczej kobieta. Mężczyzna, by pozostać niezauważony, przykucnął za krzewem jałowca. Nieznajoma biegła w jego stronę – pięła się ścieżką w górę, zapewne chcąc dotrzeć do pobliskiego punktu widokowego, skąd rozpościerał się najlepszy widok na jezioro. Obserwował ją z ukrycia, czując narastające podniecenie. Nie była najmłodsza, dawał jej trzydzieści kilka lat, ale to ciało... Opalone, szczupłe nogi w króciutkich białych spodenkach gimnastycznych prezentowały się naprawdę kusząco, długie jasne włosy spięte w kucyk odejmowały jej lat. Była drobna i szczuplutka, ale nie wiotka. Przygryzł wargę, wgapiając się w dekolt czerwonej koszulki na ramiączkach, którą miała na sobie. Biegaczka przystanąła i oparta o pień jednej z sosen przez dłuższą chwilę ciężko dyszała, pochylona, z dłońmi opartymi na kolanach. Sapała, zdyszana, a on nie potrafił odebrać od niej wzroku.

Nie planował tego. To był impuls, instynktowna fala samczego pożądania, które nagle odebrało mu rozum, zamieniając go w drapieżcę.

Dostojnie wystrzelił zza krzaka i zanim kobieta zorientowała się, że w ogóle jest w niebezpieczeństwie, doskoczył do niej, złapał ją za włosy i pociągnął w głąb lasu. Szarpała się, ale był silniejszy. Dłonią zastłaniał jej usta, drugą zdzierał z niej spodenki. Ugryzła go w rękę. Uderzył ją pięścią w twarz i popchnął tak mocno, że upadła na ściółkę. Krew z rozbitego nosa spłynęła na jej usta i brodę. Płakała, ale nie potrafił przestać. Kiedy rozdzierał na niej koszulkę, a później szarpał się ze sportowym stanikiem, znieruchomiła. Poddada się, czy tylko zbiera siły? – zastanawiał się. Kolanem rozsunał jej nogi, wbił się w nią zachłannie, bezlitośnie. Krzyknęła, ale szybko ucichła. Może liczyła na to, że jeśli nie będzie stawiać oporu, on szybciej skończy? Miał ochotę gryźć – zostawić na jej opalonej, aksamitnie gładkiej skórze ślady zębów, poszarpać ją niczym pergamin, naznaczyć. Powstrzymał się jednak, nie chciał ułatwiać pracy policji. Pieprząc ją, mówił sobie, że to tylko seks i pozwoli jej odejść, ale szybko do niego dotarło, że nie może. Nie spodobałoby mu się za kratami, tego był pewien. Nie może pozwolić jej wrócić do miasteczka i lecieć prosto na policję. Świetnie je przecież znał – wszystkie te wygadane feministyczne suki! Już nie milczały, jak

dawniej, nie wstydziły się. Poszłyby zgłosić gwałt, był tego niemal pewien. Wstrząsnął nim orgazm – gwałtowny, cudownie intensywny. Wysunął się z niej i zaczął zlizywać pot z jej dekoltu, piersi i brzucha. Smakowała słoność i wyśmienicie, jak jego pierwsza licealna dziewczyna. Sięgnął ręką do jej włosów i dosłownie zdart z nich wąską czarną gumkę, uwalniając lśniące, pachnące kokosem jasne pasma. Kiedy żuł jeden z kosmyków, leżała nieruchomo, nadal z szeroko rozłożonymi nogami, jakby nagle zamieniła się w szmacianą lalkę. Jej uda oblepiła ściółka, na brzuchu miała krew, a on nie miał pojęcia, skąd się tam wzięła, być może z nosa. Oderwał usta od jej włosów, polizął jej sutek i zaczął go ssać. Kobieta się szarpnęła, zaczęła go z siebie zrzucać, podjęła walkę. Po co? – zastanawiał się. I tak już zrobił swoje.

– Ćśśś – szepnął jej do ucha. – Leż cicho, poddaj się – wymruczał.

Zaszłochotała.

Nie znosił kobiecych łez, sprawiały, że czuł się winny. Spojrzał jej w oczy. Były miodowo-zielone, ładne, duże. Chciałby jeszcze przeciagnąć ten moment, napaść się jej zapachem, strachem i ciałem, ale byli w miejscu, w którym w każdej chwili mogli zostać przez kogoś przyłapani, a on, po tym, jak już spuścił ze smyczy swoje żądze, zaczął myśleć głową, zamiast przyrodzeniem.

– Przepraszam – wyszeptał, zanim zacisnął palce na jej gardle.

Podjeżdżał, że w tym właśnie momencie blondynka zrozumiała... Dotarła do niej świadomość rychłej śmierci, zdała sobie sprawę z tego, że brutalny gwałt to dopiero początek. Zaczęła się szarpać, walczyła, ale był od niej znacznie większy, silniejszy. Choć niewątpliwie była wysportowana, nie miała z nim szans. Dusząc ją, patrzył prosto w jej oczy i obserwował, jak ucieka z nich życie, gaśnie w nich światło. Kiedy odpłynęła, zaciskał dłonie jeszcze przez dłuższy czas, by mieć pewność, że nie żyje, później opadł na ściółkę tuż obok martwego ciała swojej ofiary i leżąc na plecach, zapatrzonej w strzeliste pnie rosnących wokół sosen, delektował się chwilą, wspominał te krótkie minuty swojego panowania nad czyjś ciałem i losem. Nigdy wcześniej nie zabił. Zdarzało mu się już przekraczać granice, czy zmuszać kobiety do czegoś więcej niż to, na co w danym momencie miały ochotę, ale zabójstwo... To była nowość. Muszę uciekać – zdał sobie sprawę. Było wcześniej, a oni znajdowali się w dość odległej od pobliskiego miasteczka części lasu, ale i tak w każdej chwili na ścieżce mógł się pojawić jakiś wędkarz czy amator ruchu na świeżym powietrzu.

Zanim wstał, położył głowę na płaskim brzuchu blondynki i z policzkiem wtulonym w jej skórę

podziękował za to, co mu właśnie podarowała. Siebie. Wciąż była ciepła, ale jej piers nie unosiła się z każdym oddechem, zupełnie nieruchoma, co wydało mu się upiorne.

Nagle przyszła panika. Dopadła go w sekundę, jakby ktoś zdzielił go kamieniem w głowę. Zerwał się na równe nogi, zlustrował wzrokiem okolicę i zebrał podarte ubrania ofiary. Wcisnął je do dziupli w zmurszałym drewnianym pniu leżącym nieopodal. Później w pośpiechu przeciągnął martwe nagie ciało na brzeg jeziora. Stara łódka, do której włożył ofiarę, była przykryta ciemnozieloną brezentową plandeką – wystarczyło ją uchylić, a później ukryć nieszczęśnicę pod płachtą.

– Kurwa, ciężka jesteś – sapnął, układając zwłoki na dnie łodzi.

Kiedy poradził sobie z trupem, gorączkowo się rozejrzał, ale na ścieżce nie było żywego ducha. Odetchnął z ulgą, przykrył martwą kobietę i znalazł kilka większych kamieni, którymi obciążył brezent. Następnie wszedł do jeziora i przez chwilę pływał w przyjemnie chłodnej wodzie, z nadzieją, że kąpiel zmyje z niego ślady jej krwi.

Zanim się ubrał, wrócił w miejsce, gdzie ją dopadł, i przez dłuższą chwilę kucnął za jednym z drzew, napawając się wonią żywicy, lasu i strachu. Tak, przysiągłby, że w powietrzu nadal unosiła się ulotna,

ledwie wyczuwalna nuta jej zwierzęcego przerażenia. Przeczesał palcami mokre włosy i bosy ruszył między drzewa. Głęboko oddychał podczas ubierania, krew zdawała się krążyć w jego żyłach szybciej niż zwykle, czuł się niezwykły. Odebrał życie ludzkiej istocie, ale nie czuł się z tym źle. Wręcz przeciwnie, przepelniały go duma i słodycz zwycięstwa. Kiedy wychodziła dziś pobiegać, pewnie nie pomyślała, jak tragicznie może skończyć. Miała jakieś ambicje, marzenia, zapewne plan dnia. Odebrał jej to w kilka minut, okradł ją z przyszłości. Współcześni ludzie uwielbiali myśleć, że są cywilizowani. Publicznie piętnowali wszelkie patologie, każde odstępstwo od społecznie przyjętej normy, ale przecież wiedział, że tylko się okłamują. Człowiek zawsze był bestią, od zarażenia dziejów. Zapach krwi jest afrodyzjakiem, a nic tak nie podnieca mężczyzny, jak kobieca krew. Krew, pot i łzy, uśmiechnął się.

Był jakieś półtora kilometra od miejsca gwałtu, tuż przy polance z drewnianymi stolami piknikowymi, przy których czasem spotykał się ze znajomymi, kiedy przystanął i oparł się plecami o chropowaty pień sosny. Miał ochotę tam wrócić, unieść przywaloną kamieniami płachtę, wyjąć stygnące ciało z łódki i cisnąć je w wysokie szuwary przy brzegu, a później jeszcze raz zerznąć. Zastanawiał się, jakie to uczucie posuwać trupa. Skrzywił się. Nie, to byłoby przегięcie.

Takich rzeczy się nie robi – powiedział sobie. A jednak w głowie widział siebie leżącego na jej szczerpym opalonym ciele, wypychającego się w nią, posuwającego. Tym razem z całą pewnością nie stawiałaby oporu, uśmiechnął się pod nosem. I te nachalne, obsesyjne myśli o gryzieniu... Chciał szarpać jej skórę zębami, marzył o wgryzieniu się w jej piersi, brzuch i wnętrze ud. Złapał wargę między zęby, żeby zwalczyć pokusę. Spierdalał stąd, zanim ktoś cię zobaczy! – powiedział sobie w duchu i niechętnie wrócił na wiodącą w stronę pobliskiego miasteczka ścieżkę.

Nie spotkał nikogo w drodze do samochodu, co uznał za niemały fart. Był sierpień, pełnia wakacyjnego sezonu, a pobliskie kempingi i prywatne domy zapępniały chmary turystów. Miejscowym też zdarzało się włóczyć po lasach, ale tego akurat dnia los mu sprzyjał. Kiedy wrócił do siebie, wyjął z lodówki piwo i wypił je niemal duszkiem. Był spragniony i przyjemnie pobudzony. Można powiedzieć, że całkiem nieźle rozpoczął dzień.

1

JUSTYNA

Justyna biegła, dopóki nie złapała jej kolka. Ciężko dysząc z wysiłku, opadła na jedną ze stojących nad wodą ławek i napiła się mineralnej. Odkąd zamieszkała w Olsztynie, dość często wybierała taką trasę joggingu, żeby ostatecznie trafić nad jezioro Długie i przez chwilę pogapić się na wodę, zanim wróci do wynajętego mieszkania i włączy laptop. Była freelancerką, pisała głównie artykuły na zamówienie, choć zdarzało jej się również zarabiać na tłumaczeniach. Odpowiadał jej taki tryb życia, który – choć podszyty osamotnieniem – dawał sporo wolności i możliwość panowania nad własnym planem dnia. A samotnicą i tak była, przynajmniej od jakiegoś czasu...

Wstała, wyrzuciła do przepelnionego kosza plastikową butelkę po wodzie, zrobiła kilka skłonów i pajacyków. Skacząc, zdała sobie sprawę, że gapi się na nią jakiś starszy facet prowadzący rower. Skrzywiła się i ostentacyjnie odwróciła do niego plecami. Nienawidziła, kiedy ktoś się jej

przyglądał. Zwłaszcza mężczyźni... Ten ich obleśny, pożądliwy wyraz twarzy... Na samą myśl robiło jej się niedobrze.

Po powrocie do mieszkania już w korytarzu rzuciła przepocone ciuchy, ruszyła do łazienki i weszła pod prysznic. Dzień był upalny, a letnia woda tryskająca z deszczownicy przyjemnie chłodziła jej rozgrzane wysiłkiem fizycznym ciało. Sięgnęła po żel pod prysznic. Pachniał cytrusowo, kojarzył jej się z egzotycznymi wakacjami, na których tak dawno nie była. Ciężko się zmobilizować do dalszego wyjazdu, kiedy jest się singielką, w dodatku nieustannie goniącą za nowymi zleceniami. Za trzy miesiące skończę dwadzieścia osiem lat, zdała sobie sprawę, przesuwając nasączoną płynem gąbką po opalonej skórze. To dużo czy mało? Jeszcze beztraska młodość, czy może już poważny dojrzały wiek? Ale czy kiedykolwiek czuła się beztraska? Uśmiechnęła się krzywo i sięgnęła po szampon. Kiedy wyszła z zachlapanej wodą kabiny, odnotowując, że przydałoby się odkamienić otaczające natrysk przeszklenia, osuszyła frotowym ręcznikiem długie miedzianorude włosy, a później weszła na wagę. Pięćdziesiąt siedem kilo przy wzroście metr siedemdziesiąt trzy. Nieźle, powiedziała sobie, zanim zaczęła się wycierać.

Stojąc przed lustrem, spojrzała sobie w oczy. Były duże, piwne, takie jak u matki. Na myśl o mamie poczuła wzruszenie. Przez ostatnie lata tak bardzo się od siebie oddaliły. Czy jeszcze kiedyś uda się im ponownie zbliżyć? Justyna westchnęła i wklepała nawilżający krem pod oczy. Zbliżała się trzynasta, a ona niewiele tego dnia zrobiła, co nagle zrodziło wyrzuty sumienia. Szybko pocieszyła się tym, że ostatnio całkiem nieźle zarabiała, więc może nie powinna kręcić na siebie bata.

W niewielkiej kuchni, która zdecydowanie prosiła się o sprzątnięcie, ukroiła sobie kawałek sernika z malinową polewą. Kupowała go w pobliskiej cukierni i dość często zastępował jej obiad, szczególnie latem. Smakował wybornie, zwłaszcza po niedawnej przebieżce. Tak, sernik i chlebek bananowy to zdecydowanie jej faworyci.

Zanim zabrała się do pracy, weszła na Onet, żeby sprawdzić prognozę i znieruchomiła z uniesionym w dłoni widelczykiem. Jedną z wiadomości dnia była informacja o zaginięciu młodej kobiety. Nie byłoby w tym nic niecodziennego, gdyby nie fakt, że ładna szczupła blondynka zniknęła w miejscu, które Justyna tak świetnie znała – w jej rodzinnym miasteczku. Odsunęła talerzyk z niedojedzonym sernikiem i kliknęła w nagłówek.

Trzydziestodwuletnia Ilona Nowakowska opuściła pensjonat, w którym zatrzymała się z mężem i dwuletnim synkiem, żeby pobiegać nad jeziorem. Ostatni raz była widziana w recepcji obiektu, kwadrans przed piątą rano, we wtorek ósmego sierpnia, co zostało zarejestrowane przez kamery monitoringu znajdujące się na terenie pensjonatu. Kobieta miała na sobie białe spodenki gimnastyczne i czerwoną bluzkę na szerokich ramiączkach. Na nogach szaro-błękitne sportowe buty, jasne długie włosy spięte w kucyk. Zaginiona ma zielono-brązowe oczy, szczupłą sylwetkę i metr sześćdziesiąt sześć wzrostu. Ustalono, że kobieta nie miała przy sobie komórki – jej telefon został w pensjonacie. W dniu zaginięcia Ilona Nowakowska planowała z rodziną powrót do Lublina, skąd pochodzi, ale wyjazd uniemożliwiło jej tajemnicze zniknięcie. Mąż zaginionej, Tomasz Nowakowski, nadal przebywa na terenie ośrodka wypoczynkowego, gdzie, razem z synkiem, czeka na jakiegokolwiek wieści o losie żony – przeczytała Justyna.

Przymknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów, żeby uspokoić rozszalałe, zbyt szybko bijące serce. Zalała ją fala bolesnych, traumatycznych wspomnień, zrobiło jej się niedobrze. Siedziała przy kuchennym stole, a jednak niemal poczuła znajomy zapach lasu. Nie wiedziała czemu, ale miała przeczucie, że kobiecie przytrafiło się coś bardzo złego. Była środa, dziewiąty sierpnia i nic

nie wskazywało na to, żeby blondynka się odnalazła, skoro Onet zamieścił artykuł czterdzieści minut temu. Wciąż była zaginiona. Była turystką, nie znała tamtych lasów, więc oczywiście mogła się zgubić, ale przecież nie na tak długo!

Co, jeśli to on? – przeszło jej przez myśl.

Czy to możliwe, że wciąż polował na kobiety?

Szybko jednak powiedziała sobie, że nie ma to najmniejszego sensu. Minęło tyle czasu, nie był już młody i sprawny. Nie sądziła, żeby to właśnie on za tym stał, a jednak na samą myśl znowu poczuła mdłości.

Pan o miętowym oddechu, tak go wtedy nazywała – przed laty, kiedy miała trzynaście lat, a los postawił go na jej drodze. Edmund Molenda był potworem, ale nawet potwory się starzeją, tracą sprawność fizyczną, odpuszczają. Wtedy był tuż po czterdziestce, teraz musiał więc mieć jakieś pięćdziesiąt trzy, może cztery lata. Czy to jeszcze ten wiek, kiedy ma się siłę i ochotę krzywdzić kobiety? Nie, to nie on, powiedziała sobie. On jest już zbyt zramolały, a ofiara... Cóż. Zaginiona również nie była nastolatką, a przecież on zawsze wybierał młodziutki dziewczyny. Nie zaatakowałby dojrzałej, w dodatku wysportowanej kobiety, tego była pewna. Tacy jak on szli po linii najmniejszego oporu, wybierali najłatwiejsze cele.

Justyna miała czternaście lat, kiedy zgwałcił ją po raz pierwszy, kilka miesięcy od dnia, w którym zaczął ją „urabiać”. Czternaście lat... Na samo wspomnienie poczuła pod powiekami łzy, ale smutek szybko przemienił się w palącą złość. Więc w tamtych lasach grasuje kolejny zwyrodnialec, pomysłała. Jeśli oczywiście ta kobieta z własnej woli nie uciekła od męża, jej los wydawał się jej przesądzony. Leżała pewnie gdzieś teraz ciężko pobita i zgwałcona, może nawet martwa. Drapieżcy, którzy polują na niczego niespodziewające się ofiary, rzadko okazują litość. Zabił ją, a przynajmniej porzucił ciężko ranną, nie było innej opcji. Wyobraziła sobie poszukiwania – setki mieszkańców przeczesujących tak dobrze jej znane lasy, policję, łodzie patrolowe sunące po gładkiej tafli jeziora, krzyki ekip ratunkowych rozbrzmiewające wśród drzew. Pamiętała żywiczny zapach tamtych terenów, balsamicznie czyste powietrze i swój zwierzęcy strach. Zabierał ją daleko od turystycznych szlaków i gwałcił w wysokich paprociach, a później odwoził na skraj miasteczka i dalej kazał iść pieszo. „Jeśli piśniesz matce choć słowo, wyrzucę ją z pracy, a ciebie zabiję. Zatłukę cię i schowam twoje ciało tak, że nigdy go nie znajdą” – nawet teraz, siedząc samotnie w kuchni wynajętego mieszkania, Justyna słyszała w głowie jego szept.

Lubił szeptać. Przykładał usta do jej ucha i diabolicznie syczał. Czasem bywały to komplementy, ale równie często groźby.

Zabiję cię... Ile razy to słyszała? Dziesiątki? Setki?

Pół roku temu, odwiedzając rodzinę, wpadła na niego na stacji benzynowej, niemal zderzyli się w przeszklonych drzwiach. Molenda skinął jej głową na powitanie i wyminął ją z tak obojętnym wyrazem twarzy, jakby nigdy nie doszło do tamtych plugawych spotkań w lesie, jakby nigdy jej nie tknął. Przystanąła wtedy przy wejściu, zszokowana, zniesmaczona i przejęta obrzydzeniem, ale nie czuła już strachu. Była dorosłą kobietą, nie istniała już tamta naiwna, młodziutka dziewczyna, którą krzywdził przed laty. Nie była silna, co to to nie. To, co się stało, odebrało jej radość życia, ochotę na stworzenie związku z jakimkolwiek mężczyzną i poczucie bezpieczeństwa, a jednak zniknął ten paniczny, obezwładniający strach, który kiedyś czuła na sam jego widok. Teraz był tylko siwiejącym na skroniach podstarzałym zбочeńcem z piwnym brzuchem przelewającym się zza paska eleganckich ciemnych spodni. Był demonem z jej mrocznej przeszłości, jednak takim, który nie miał już nad nią władzy absolutnej, mówiła sobie.

Wstała.

Justyna i Renata przed laty były ofiarami miejscowego hotelarza – pedofila, który molestował nieletnie dziewczynki z rozbitych rodzin. Agnieszka jest jego córką. Córką potwora. Kiedy w niewielkim mazurskim miasteczku dochodzi do zaginięcia młodej letniczki, budzą się stare demony – milczące dziewczyny postanawiają zacząć mówić.

Justyna i Renata latami usiłowały dojść do siebie emocjonalnie po przeżytych traumach. Życie Agnieszki z pozoru wydaje się zupełnie inne, lepsze, ale ona również nienawidzi swojego ojca. Szokującą prawdę o jego mrocznym obliczu poznała będąc nastolatką. Później czekała, obserwowała i pilnowała potwora. Po tragicznej śmierci swojej żony Edmund Molenda przestał polować na dziewczynki. Jednak nadchodzi dzień, w którym jego córka odkrywa, że upatrzył sobie kolejną ofiarę i zaczyna ją urabiać. Do Agnieszki dociera, że nie może dłużej odwracać oczu.

NIKTÓRZY LUDZIE ZASŁUGUJĄ WYŁĄCZNIE NA ŚMIERĆ. ALE CZY RODZONA CÓRKA ZNAJDZIE W SOBIE TYLE SIŁY, BY ODEBRAĆ ŻYCIE WŁASNEMU OJCU?

cena 47,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilija.pl



FILIA MRO CZNA
STRONA

ISBN 978-83-8357-979-5



9 788383 579795